

#niegrzecznenowele


motyleWiosie



KAPCIUSZEK

Agnieszka Kowalska-Bojar

#niegrzecznenowe

Kapciuszek

Agnieszka Kowalska-Bojar

www.motylewnosie.pl

Poznań 2023

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydanie I

Poznań 2023

Ebook ISBN 978-83-66352-71-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

Kobieta krytycznie przyglądała się stojącej przed nią dziewczynie. Ładna, oceniła niechętnie. Za ładna. Zaraz potem na okrągłą jak księżyc w pełni twarz, wypłynął szeroki uśmiech. W zamierzeniu miał być serdeczny oraz stanowić zapowiedź matczynej troski i tak też został odebrany przez większość. Przez większość, ale nie przez wszystkich.

Marysia niezauważalnie zmarszczyła brwi. To był leciutki grymas, prawie nie do uchwycenia przez mało bystrego obserwatora. Tylko że jej macocha do takowych nie należała. Od razu załęgło się w niej podejrzenie, że pasierbica nie do końca jest łagodnym, spolegliwym dziewczęciem, o niewinnym spojrzeniu ogromnych oczu w kolorze gołębim. Lecz nie dała tego po sobie poznać. Dalej rozdawała uśmiechy, częstowała słówkami pełnymi słodyczy, wychwalała wystrój domu i maniery pasierbicy. Ani słowa o własnych córkach, ani słowa o przyszłych planach.

Towarzystwo bawiło się wyśmienicie. Świeżo upieczony pan młody dyskretnie adorował swą małżonkę. Dwie krzykliwie ubrane pannice chichotały, zajadając się ciastkami. Nieliczni zaproszeni znajomi, raczyli wszystkich najnowszymi plotkami, a służba krążyła dookoła, pozornie niewidoczna, ale jednocześnie dysząca niezdrową ciekawością.

Tylko Marysia była wściekła.

Na ojca, za niespodziankę, którą jej sprawił. Na tę babę, która zajęła miejsce należące do świętej pamięci matki. Na wszystkich i na cały świat. Jednak wściekłość Marysi nie objawiała się tak, jak u innych. Rozgniewana pochmurniała, posepniała i ogólnie zaczynała wyglądać, jakby niebo zważyło jej się na głowę. W końcu miała dość, więc dygnawszy jak dobrze ułożona panienska, poprosiła o pozwolenie opuszczenia salonu. Zarumieniła się przy tym uroczo, co miało dać obecnym do zrozumienia, że chce się udać w dyskretne miejsce, gdzie i król chadza piechotą. W rzeczywistości poczerwieniała od emocji, ale tego już nikt się nie domyślił. Pozwolenie oczywiście dostała, lecz zamiast udać się do wygodki, pomknęła schodami na górę, aż na sam strych. Przeszła przez pomieszczenie, gdzie zimą suszono pranie, potem przez dwa kolejne, aby na końcu znaleźć się w malutkim pokoiku na wieży, z widokiem na królewski zamek i leżące u jego stóp miasteczko.

Rozluźniła szczękę, pozbywając się psychopatycznego uśmiechu, po czym zaczęła sapać ze złości. Wymierzyła kilka ciosów wyimaginowanemu przeciwnikowi, na końcu sapnęła po raz ostatni i ciężko zwała się na sofę, stojącą tuż pod oknem.

– Mam przechlapane – odezwała się ponurym, pełnym przygnębienia tonem, zupełnie niepasującym do tak subtelnej panienski, odzianej w jedwabie i atłasy. Na dodatek w kolorze słodkiego różu, gdzie od samego patrzenia na ten sympatyczny kolorek mogło zemdląć co bardziej wrażliwe osobniki. Splotła ramiona, przeżywając w duchu własną klęskę. Nici z objęcia ojcowizny. Już ta

baba znajdzie sposób, aby położyć na wszystkim łapę. Pazerność miała wypisaną na twarzy, aż dziw, że ojciec tego nie zauważył. Ciekawe dlaczego? Czyżby jakieś czary? Zafrasowana Marysia podrapała się po nosie. Czary? Doskonały pomysł! Może ona też...

– Marysiu! Marysiu! Gdzie jesteś? – wionęło subtelnie z dołu.

– W czarnej dupie! – warknęła rozeźlona, po czym zwlokła się z sofy, poprawiła idiotyczną kieckę, którą kazano jej włożyć i z powrotem przywołała grymas, z powodzeniem imitujący serdeczny oraz dobroduszy uśmiech. Schodząc po schodach, zdążyła jeszcze pomyśleć, że zwariuje od tego wszystkiego, po czym wpadła w prawdziwe oko cyklonu.

Bo macocha oznajmiła, że spodziewa się dziecka.

Dzidzius się nie pojawił, chociaż szanowny rodziciel do samego końca nie tracił nadziei. Czyli do chwili, gdy jego statek wraz z załogą pogrążył się w odmętach oceanu. Macocha została panią na włościach, jej latorośle dziedziczkami, a Marysia, z uporem udająca niewinną i płochliwą, trafiła do kuchni. Konkretnie do szorowania garów, bo pomoc kuchenna rzuciła ciepłą posadkę, idąc w diabły. Z każdym upływającym dniem pozbawiano Marysi coraz większej ilości przywilejów, aż w końcu wyglądem przestała się różnić od służby. Ba! Nikt nie rozpoznałby w brudnej, nabzdyczonej dziewczce, pierworodnej córki dawnego właściciela. Jej odzienie bardziej przypominało szmatę do podłogi, włosy były

szare i matowe od popiołu, który wybierała z pieców, a twarz umazana sadzą. Samej Marysi nie bardzo to przeszkadzało, bo mogła w końcu pozbyć się tych okropnych różowych fatałaszków. Z miejsca doceniła też swobodę będącą skutkiem braku gorsetu, ogromnych majtasów, niewygodnych pończoch i całej reszty rusztowania, będącego na wyposażeniu każdej szanującej się panienki, o idiotycznej peruce nie wspominając. Swoje obowiązki spełniała w milczeniu, dobrze wiedząc, że chociaż zajęcie niewdzięczne, to przynajmniej była bezpieczna. Do dnia, w którym skończy dwadzieścia jeden lat i stanie się oficjalną dziedziczką. Czort wie, co knuła macocha, ale z pewnością w jej planach nie było miejsca na żywą pasierbicę.

Właśnie o swej nie nazbyt świetlanej przyszłości rozmyślała Marysia, zawzięcie i z ponurym grymasem szorując podłogę, gdy w miasteczku wybuchła bomba. Oczywiście nie taka prawdziwa, ale bomba towarzyska.

Księżę szukał żony. Nie wśród zamorskich księżniczek, ale wśród panien z własnego królestwa. W tym celu postanowił wydać wielki bal, na którym będzie miał możliwość rozejrzeć się wśród kandydatek i wybadać rynek panien na wydaniu.

Zarówno Gryzelda jak i Anastazja latały po całym domu, drąc się jak opętane. Za nimi pędziła równie rozgrzana sensacją macocha, aż jej się peruka przekrzywiła na głowie. Marysia miała w nosie ich emocje, ale kiedy zabrudziły dopiero co wypastowaną posadzkę w holu głównym, wstała, otrzepała kolana i z impetem rzuciła szmatą o ścianę.

– Jak za darmo, to żadna cholera nie doceni! – mamrotała pod nosem, taszcząc wiadro z brudną wodą. Szmataę zostawiła jako wyraz sprzeciwu przeciwko marnotrawieniu jej pracy. Pewnie te nagrzane, nieprzytomne z emocji baby tego nie zauważą, ale co tam. Może się któraś o nią potknie i nabije sobie pięknego, dorodnego siniaka. W sam raz na bal.

Wzięła z koszyka kilka jabłek i pomaszzerowała w głąb ogrodu. Zatrzymała się dopiero tam, gdzie graniczył z rzeką, płynącą tuż przy wschodniej flance. Usiadła na miękkiej trawie, rozmyślając o dobytku, który udało jej się zgromadzić. W końcu nie mogła uciekać w obszarpanej sukni na grzbiecie i z miotłą w dłoni.

Głośne chrząknięcie było jak uderzenie pioruna z jasnego nieba. Marysia zakrztusiła się kęsem jabłka, dziwnie powarczała, poczerwieniła i w końcu doszła do siebie. Po czym odwróciła się, posyłając przybyszowi miazdzące spojrzenie. W zasadzie przybysze. Babina była mała, chuda i zgarbiona, ale w pomarszczonej twarzy oczy lśniły jak dwie gwiazdy. Na bezzębnych ustach wykwitł serdeczny uśmiech, co do którego Marysia miała dziwne podejrzenie, że jest również lekko kpiący.

– Tyś jest nadobna dziewczeczka, córka właściciela tego domostwa? – Stara machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Jamże jest – burknęła nadobna dziewczeczka, wracając do konsumpcji.

– Jestem twoją matką chrzestną – oświadczyła starowina pompatycznym tonem.

– Możliwe. Matula miała dziwny gust – zgodziła się z nią Marysia, rzucając do rzeki ogryzek. Musiała ugryźć

się w język, aby nieuprzejmie nie spytać, czego ta najwyraźniej poszkodowana na umyśle baba chce.

– Bal! – kontynuowała tamta z pietyzmem. – Za pięć dni wielki bal!

– I co z tego?

– Jam jest twoja matka chrzestna...

– Wprowadzisz mnie kuchennymi drzwiami?

– ...i wielka wróżka!

– Ty? – Marysia przestała jeść, przyglądając się staruszce z łagodnym zaciekawieniem. Dotychczas nie spotkała w swym życiu żadnego wariata. – A nie wyglądasz – dodała.

– Ty też nie wyglądasz na łagodną i niewinną – odgryzła się wróżka. Po czym podkasła kieckę, usiadła obok zdumionej dziewczyny i bez pytania poczęstowała się jabłkiem. – Minę masz wyjątkowo jędzowatą.

– Wypraszam sobie! Egzystencja mnie dobija, to dlatego – zaprzeczyła oburzona Marysia.

– Dlaczego?

– Wypucowaną podłogę mi zdeptali – wymsknęło się jej. Wróżka zarechotała zupełnie jak stara, sparszywiła czarownica.

– Dobrze, dobrze! – powtarzała, klepiąc się po kolanach. – Co z ciebie za panna, że zamiast o balu, ty o sprzątanu rozmyślasz?

– Nie lubię balów. Peruka wściekle gryzie mnie w głowę, a obecna moda jest do bani. Żadnych balów! – zdenerwowała się Marysia.

– A księżę?

– W nosie mam księcia. Jestem emancypantką!

– Emancy... co? – Staruszkę wyraźnie zatkało. – I pucujesz podłogi?

– Chwilowo – oświadczyła godnie Marysia. – Ale na pewno nie będę się uganiać za jakimś wypierdkiem o wybujałym ego, trefionych blond włoskach i umięśnionej klacie.

– A! Widziałaś portret na mieście – odparła domyślnie wróżka. Po czym pochyliła się i spytała konspiracyjnym szeptem.

– Cały widziałaś?

– Nie rozumiem...

– Pytam, czy widziałaś na tym portrecie księcia w całości. No wiesz, twarz jak twarz, klata jak klata, ale mnie chodzi o to poniżej pasa.

– A co jest poniżej pasa? – Marysia była nieufna i podejrzliwa. – Nogi?

– Poniżej pasa i powyżej nóg – zachęcała staruszka. – Nie wiesz, co jest pomiędzy?

– Trochę się nasłuchałam przez ostatnie miesiące, więc zielona nie jestem. Ale twojego pytania nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Wyślę cię na bal, to zrozumiesz.

– Nie chcę na żaden bal. – Dziewczyna zerwała się z miejsca, mierząc wróżkę pełnym niechęci spojrzeniem. – Coś ty się tak uwzięła na mnie? Idź, szukaj innej chętnej.

– Nie ma innych. Odgornie ty mi zostałam przydzielona, więc wpadłam, żeby się przywitać. Do pracy przystąpię dopiero w dzień, na który zaplanowany jest bal.

– Nie pojedę!

– Jeszcze zobaczymy.

I zniknęła. Zdezorientowana Marysia zamrugła oczyma. W miejscu, gdzie siedziała hipotetyczna wróżka, unosił się mętny dymek brunatnego koloru. Wściekła dziewczyna zelżyła w myślach wszystkie moce piekielne i nie piekielne, skrzaty, jednorożce i całą resztę baśniowych stworów, na czele z cholernymi wróżkami. Na dodatek zacięła się w uporze. Żadnego balu i koniec! Choćby miała uciec do Samotnego Lasu... Aż przystanąła w miejscu. To jest myśl! Wróżki podobno omijają to miejsce, bo klimat im nie służy. Spakuje się, znajdzie sobie jakąś przytulną łączkę, przeczeka dwa dni i wróci. A ta stara jędza z talentem magicznym niech się wali!

– Marysiu! Maaryysiuu! – Wysoki kobiecy głos niósł się po ogrodzie, żądający, roszczeniowy. Wkurzający.

Zakłęła szpetnie, po czym podniosła się z klęczek, bo pielila właśnie grządkę nagietków, rozmyślając o wyprawie do Samotnego Lasu. Otarła pot z czoła, nie zważając, iż brudna dłoń zostawia czarne, brzydkie smugi.

– Idę! – odwrzasnęła. Bez zbędnego pośpiechu dotarła do domu, gdzie w kuchni stała, przytupując niecierpliwie nogą, macocha.

– Co się stało? – spytała, przy okazji stwierdzając, że z każdym dniem ubywa jej cierpliwości dla tego złośliwego babska.

– Tam! – Macocha wskazała dramatycznym gestem na spizarnię.

– Tam? – Zerknęła w tę stronę z powątpiewaniem. – Co tam? Ktoś ukradł zapasy? Wypił wino?

– Myszy! – Tym razem był to szept pełen zgrozy.

– Cóż... Trzeba było nie wywalać kotów.

– Gryzeldka ma alergię, biedactwo!

– I co? Teraz ja mam je łapać? – warknęła dziewczyna zgryźliwie, ujmując się pod boki.

– Przecież to nie może być trudne.

Marysia znaczącym ruchem popukała się w czoło.

– Nie będzie kota, będą myszy. Wybieraj! – rozkazała. Macocha spojrzała na nią gniewnie, nadęła się i z impetem usiadła na najbliższym krześle.

– Może jeden – powiedziała w końcu z wahaniem. – Na jednego kota mogłabym się zgodzić.

– Wystarczy jeden. Jak będziecie go karmić tak jak mnie, to z pewnością wyłapie wszystkie myszy w promieniu kilku kilometrów.

– Marysiu! – Znow ten dramatyczny ruch i dłonie przyciśnięte do serca. – Przrzekłam twemu ojcu, że się tobą zaopiekuję...

Wolała nie wywoływać kolejnej kłótni. Po prostu zacisnęła zęby, chwyciła miotłę i weszła do spiżarni. Myszy ani śladu, chociaż zostawiły po sobie świadectwa swej obecności.

– Uciekły. A teraz wracam do pracy i nie zawracaj mi głowy. Bo nie będzie obiadu – zagroziła. Macocha udała, że nie słyszy i ukradkiem pociągnęła łyka z pękatej butelki. A Marysia, jak zawsze udała, że tego nie widzi.

Kucharka odeszła wczoraj wieczorem po karczemnej awanturze. Jej obowiązki przypadły, a jakże, Marysi, coraz bardziej sfrustrowanej oraz gniewnej. Tak to sobie

tylko pucowała, woskowała czy czyściła, a teraz pracy jej przybyło. Na dodatek dziewczyna miała wyjątkowy antytalent kulinarny, co wywoływało pionową zmarszczkę przecinającą czoło macochy. Awantura wisiała w powietrzu, bo tak naprawdę żadna z nich nie grzeszyła słodyczą charakteru. Na szczęście macocha i jej córki były również pochłonięte przygotowaniami do balu. Po wszystkich pomieszczeniach walały się próbki materiałów, wstążki, buty, akcesoria upiększające, a w powietrzu unosił się duszny zapach perfum oraz emocji. Marysia klęła na czym świat stoi, nawet zaniechała sprzątanania, z zaciśniętymi zębami czekając na właściwy moment, gdy będzie się mogła ulotnić. Węzełek już miała spakowany, a w nim krzesiwo, manierkę na wodę, ostry nóż oraz pół bochenka chleba i wędzoną szynkę. Raczej nie żywiła złudzeń, że cokolwiek upoluje, więc wołała się zaopatrzyć we własnym zakresie.

Propozycja macochy spadła na nią niczym grom z jasnego nieba.

– Ja? – wydukała, gapiąc się baranim wzrokiem na swoją przybraną matkę. – Że niby ja na bal? Z wami?

– Jesteś moją córką – oświadczyła tamta pompatycznym tonem. – Oczywiście nie masz co liczyć na księcia, ale z pewnością trafi się jakiś przystojny, majątny kawaler. Czas najwyższy wydać cię za mąż.

– Tak mam iść? – spytała zimno Marysia, wskazując na obdartą, poplamioną buraczkami spódnicę. Co za jędza, pomstowała w duchu. Niestety, nawiedziło ją również przecucie, że być może jej pobyt w Samotnym Lesie potrwa nieco dłużej, niż zaplanowała. Gorzej! Być może potrwa całe życie.

– A nie, nie! – Kobieta zamachała rękoma. – Pożyczymy ci jakąś sukienkę, może tę w kolorze zielni załamanej złotem, którą Gryzia nosiła sezon temu.

– Tę sraczkowatą? – upewniła się Marysia, nie bawiąc się w eufemizmy. – Z bufiastymi rękawami oraz tysiścem falbanek?

– Tylko niesraczkowatą! – W oczach macochy błysnęła stal. Na szczęście nie zdążyły się pokłócić, bo Marysia w porę przypomniała sobie, że i tak ma w planach wycieczkę do lasu.

– Dobra, może być – burknęła. – A teraz idę wypucować schody, więc żeby żadna z was mi się tam nie pętała, zrozumiano?

I poszła. Ale po węzełek i pelerynę. W salonie zostawiła list, w którym obiecywała, że wróci dzień po balu. W nosie miała reakcję macochy, wróżki oraz straconą szansę bogatego zamążpójścia. Na sam koniec załadowała jeszcze do kieszeni kilka jabłek, po czym ruszyła w drogę.

Na początku było całkiem przyjemne. Co prawda słońeczko wisiało nisko na nieboskłonie, ale ptaszki ćwierkały jak wściekłe, wszelkie zielsko pachniało upiornie i nawet zasępiona twarz dziewczyny szybko się wypogodziła. Niestety, tak było do momentu, gdy przedarłszy się przez zagajnik, dotarła do Samotnego Lasu.

Bywała tu wcześniej, ale nigdy nie odważyła przekroczyć się bariery pierwszych drzew. Z powątpiewaniem spojrzała na wąską, kamienistą ścieżkę, prowadzącą do serca lasu i niknącą w ciemności, potem

obejrzała się za siebie, a na końcu ciężko westchnęła. Jak mus, to mus, pomyślała, ruszając do przodu.

W Samotnym Lesie nie śpiewały ptaszki, a przez gęste baldachy drzew, nie przedzierały się złociste promienie zachodzącego słońca. Było tu cicho, ponuro i strasznie. Ale mimo to, Marysia uparcie szła do przodu, łącząc w duchu cały ród wróżkowy. Bal i księżę! Jak dorwie tego albo tą, co to wymyślili, to im nogi z dupy powyrywa, obiecała sobie solennie.

Nagle zamarała. Gdzieś z boku rozległo się żałosne wycie.

Wilki!

Nosz kurna, jeszcze tego jej brakowało!

Bez namysłu podkasła kieckę, po czym ostrym sprintem ruszyła w drogę powrotną. Niestety, bardzo szybko zorientowała się, że to właśnie stamtąd dobiega ponure wycie. Należało więc zmienić kierunek i podążyć w głąb Samotnego Lasu. Nie bardzo jej się to spodobało, ale co było robić? Nienawykła do maratonów Marysia bardzo szybko się zadyszała, a tymczasem bestie były coraz bliżej. W końcu zgubiła gdzieś węzełek, podarła pelerynę i nawet zdążyła z ponurą rozpaczą pomyśleć, że trzeba było jednak pojechać na bal.

Wypadła na polanę, a za nią kilka smukłych, srebrzystych cieni. Potknęła się, lecz wcale nie zamierzała tak łatwo się poddać. Chwyliła leżący nieopodal gruby kawałek korzenia, zerwała na równe nogi i wyszczerzyła zęby, a z jej ust wydobył się warkot godny herszta całej tej wilczej bandy. Pierwszy potwór zaatakował, ale z miejsca został potraktowany potężnym ciosem i chwilowo skapitulował, oznajmiając to światu żałosnym

skomleniem. Za to Marysia podniesiona na duchu, ruszyła do ataku, który jak wiadomo jest najlepszą obroną.

Zajęta rozdzielaniem razów oraz ekspresyjnym wyrażaniem swych uczuć, czyli wykrzykiwaniem różnego rodzaju inwektyw, nie zauważyła, że na polanie pojawił się ktoś jeszcze.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się rozczochranej, czerwonej na gębie dziewczeczce, zastanawiając się, czy powinien udzielić jej pomocy. Gdy sprawie przyłożyła obcasem w wilczy zadek, posyłając nieszczęsne zwierzę aż pomiędzy drzewa, uznał, że lepiej nie będzie na razie się wtrącał. Kto wie, czy i jego tak nie potraktuje? Z zadumą pomacał się po swej męskości, bo już raz miał przyjemność obcowania z rozwścieczoną niewiastą, która za cel swej zemsty obrała jego klejnoty. O raz za dużo, uznał, ogarniając spojrzeniem opustoszałe pole bitwy, na którym pozostała jedynie klnąca jak szewc dziewczyna. Na koniec pogroziła jeszcze pięścią w kierunku uciekającego, skamlącego żałośnie wroga, po czym potężnie dmuchnęła, tak że rozpuszczone w nieładzie włosy, podfrunęły w górę.

– Dam ja wam prześladować niewinne, zbłąkane duszyczki! – Wrzasnęła, po czym z satysfakcją otrzepała dłonie i dopiero wtedy znieruchomiała, dostrzegając obecność nieznajomego.

– No czego się gapisz? – burknęła. – Jesteś jakimś eko oszołomem? Wolałbyś, aby mnie pożarły?

– Nie jestem – odparł z uśmiechem. Dziewczyna, chociaż na początku sprawiła na nim wrażenie istoty niezwykle prostej, wręcz nieokrzęsanej, była wyjątkowo urodziwa. Ciemne, połyskujące granatem włosy otaczały

twarzyczkę o regularnych, wyrazistych rysach twarzy. Oczy, chociaż mierzyły go teraz wrogim spojrzeniem, były w kolorze nieba przed burzą, rzęsy tak długie, że rzucały cień na szczupłe policzki, a usta... ech! Takie usta chciałoby się całować godzinami, chciałoby się je widzieć, jak obejmują nabrzmiałego członka, jak powoli przesuwać się po nim. Idealne w swym kształcie, w kolorze dojrzałych malin. Szkoda tylko, że tak surowo je zaciskała, patrząc na niego z wyraźną dezaprobatą.

– Jestem Robert, syn leśniczego – przedstawił się, zgrabnie zeskakując z konia.

– Leśniczego? Tutaj? W tym lesie? – Najwyraźniej mu nie dowierzała.

– Ojciec chce mnie ożenić, więc uciekłem – westchnął, a wtedy ona nieoczekiwanie obdarzyła go pełnym współczucia spojrzeniem.

– Mnie chciała hajtnąć macocha – mruknęła, rozglądając się za porzuconym węzełkiem. – Cholerne wilki! Powinnam była mocniej skopać im te futrzaste zadki.

– À propos ślubów, dziś bal. Nie idziesz? – zainteresował się gwałtownie.

– Nie.

– Dlaczego? – zaskoczyła go ta stanowcza odpowiedź.

– A co ja? Klacz wystawowa?

– Sądziłem, że każda dziewczyna w królestwie o tym marzy.

– Myliłeś się. Chyba przepadł na zawsze.

Nie od razu zrozumiał, o czym mówiła.

– Zgubiłaś coś?

– Jakiś ty domyślny – mruknęła posepnie. – Masz coś do jedzenia? Zgłodniałam.

– Może zapolujemy?

– Niby jak?

– Masz zajebisty prawy sierpowy... – Spojrzała na niego uważniej, bo w męskim głosie wyraźnie dawał się słyszeć nieukrywany zachwyty.

– Tak, pewnie – mruknęła, rozglądając się dookoła. – Ale kiepsko biegam. Jak przekonasz ofiarę, żeby zastygła w bezruchu, to może nam się uda.

– Żartowałem – zapewnił pośpiesznie, bo dziewczyna najwyraźniej chciała odwrócić się na pięcie, zamierzając odejść. – Upolowałem tłusciutkiego zająca.

– No i? – Przyjrzała mu się podejrzliwie. – Gdzie ten zając?

– Przy siodle. Siodło na koniu. A koń za tamtym krzakiem – wskazał na miejsce, skąd przyszedł. – Zmierzcha, przyda się dach nad głową. Niedaleko stąd stoi opuszczona chata. Dojedziemy tam w mgnieniu oka.

– Dojedziemy? – Skrzywiła się. Jakoś jej się nie spodobały spojrzenia rzucane przez syna leśniczego. – Wolalabym dojść.

– Zrobi się zupełnie ciemno. Wtedy mogę nie trafić.

Niechętnie, ale uznała słuszność jego argumentów. Po czym na widok rumaka ta niechęć zauważalnie wzrosła.

– Większego nie mieli? – marudziła, podczas gdy Robert zachęcająco poklepał siodło. – Podfrunąć mam czy co?

– Pomogę ci – zaofiarował się z zapalem.

– Jeszcze czego! Jakby miała jakiś pieniek czy coś – zamyśliła się Marysia, rozglądając dookoła. I nagle ją olśniło.

– Na kolana! – rozkazała, wskazując nieco już udeptane miejsce tuż przy końskim boku. – Nie gap się tak, za podnózek będziesz robił.

– Ja? – Wyraźnie było widać, że ta myśl niezbyt mu się spodobała. – Mówiłem, że pomogę.

– Już ja znam wasze *pomogę* – mruknęła Marysia, ujmując się pod boki. – No dalej, bo się coraz ciemniej robi.

W pierwszej chwili chciał po prostu wskoczyć na konia i zostawić marudną babę. Rzut oka w dekolt wyraźnie zbyt roszczeniowej panienci, przekonał go, że może warto ubrudzić sobie spodnie. Noc była długa, a chata na odludziu stwarzała spore możliwości. Poczęstuje ją winem z zamorskich krain, co to je tatko zamawiał jedynie na specjalne uczyty, efekt murowany. A o poranku niech się baba dalej wścieka.

– Dobrze – westchnął. Dziewczyna sprawnie wdrapała się na jego plecy, a stamtąd na siodło.

Marysia musiała przyznać, że jej nowy znajomy nie skłamał. Kiedy dotarli do niewielkiego domku, słońce całkiem zniknęło za horyzontem, a w panujących ciemnościach dostrzegała jedynie kontury tego, co ich otaczało oraz złocisty blask, wydostający się wąskim paskiem zza zamkniętej okiennicy.

– Nie taka samotna ta chatka – odezwała się z przekąsem, bo była już solidnie zmęczona oraz piekielnie głodna. Nie miała ochoty na konwersacje, zarówno z

poznany synem leśniczego, jaki i z kimś, kto znajdował się w środku.

– Dziwne. – Przysięgląby, że zmarszczył z niezadowoleniem czoło. – Zawsze stała pusta.

– Dziś nie.

– Musimy sprawdzić, kto jest wewnątrz. To niebezpieczne tereny.

To powiedziawszy, zeskoczył z konia. Marysia również, jednak niezbyt dobrze obliczyła odległość od ziemi i walnęła w nią, niczym worek z kartoflami. Szpetnie zaklęła, ale zaraz potem męska dłoń zakryła jej usta.

– Cicho! Bo nas usłyszysz!

– Weź tę rękę, bo ci palce podgryzam! – warknęła, sapiąc ze złości. Groźnych spojrzeń nie miała co posyłać, bo było zbyt ciemno.

– Dobrze – zgodził się potulnie, wciąż mając w pamięci, jak sprawnie rozprawiła się z całą watahą wilków. – Podkradniemy się i zajrzemy przez tamą szparę.

– Szparę? Masz na myśli nieomkniętą okiennicę?

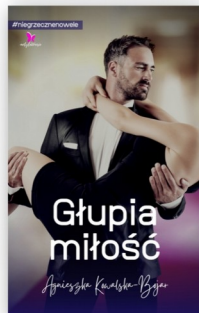
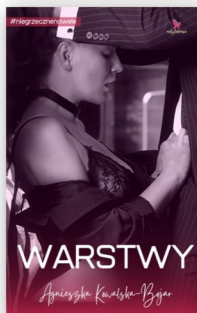
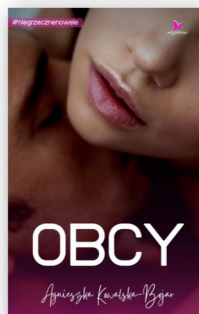
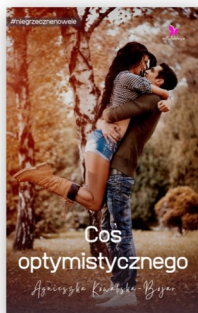
– Właśnie. Tylko nie hałasuj jak szarżujący byk, zgoda?

– Ja nie hałasuję jak szarżujący byk! – Obraziła się. – Jestem subtelna jak łania.

Skwitował to pełnym niedowierzania prychnięciem, pociągając ją za sobą. W końcu dotarli na miejsce, po drodze płosząc jedynie pająki, a później oboje, jak na komendę wystawili z ciekawością głowy.

I zamarli.

#niegrzecznenowele



#niegrzecznenowele

